



PARADA



ROK III

NIEDZIELA, 23 WRZEŚNIA 1945 R.
SUNDAY, SEPTEMBER 23, 1945

Nr 20 (64)

CENA EGZEMPLARZA: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 rls., w Anglii 9 d., w Afryce Wsch. 6 d.,
w Włoszech 12 lirów, we Francji 5 fr.



Delegacja japońska podpisuje akt kapitulacyjny — na pokładzie krążownika amerykańskiego „Missouri”



Admirał Chester W. Nimitz kładzie swój podpis; na lewo, przed mikrofonem — gen. Douglas MacArthur

JAPONIA PIECZETUJE KLESKE

Na ulicach Nowego Jorku, po ogłoszeniu przerwania działań wojennych



Kapitulacja Manili: wicešef japońskiego sztabu imperialnego, gen. Torashiro Kawab i szef sztabu amerykańskiej armii dalekowschodniej, gen. broni Richard Sutherland w czasie podpisywania aktu kapitulacji



Japońska delegacja kapitulacyjna przybywa na pokład „Missouri”



DWUTYGODNIK ILUSTROWANY
ARMII POLSKIEJ NA WSCHODZIE
ROK III

PARADA

FORTNIGHTLY REVIEW OF
THE POLISH ARMY IN THE EAST

№ 20 (64)

NIEDZIELA, 23 WRZEŚNIA 1945

Przemówienie Dowódcy 2 Korpusu Gen. Dyw. Wł. Andersa

„Sześć lat temu, pierwszego września 1939 świat cały stanął w pobudze wojennej i krwią się zachłysnął, a zrodzone wówczas mordy, gwałty i męka ludzi trwały dotąd.

Ojczyzna moja była tym krajem, który, ceniąc wolność, pierwszy chwycił za broń i przeciwstawił się zdrazieckiej napaści totalizmu niemieckiego.

W sojuszu z Wielką Brytanią i Francją walczyła Armia Polska na utraconej ziemi aż do chwili, kiedy wschodni sąsiad, zawarłszy przymierze z Niemcami, wystąpił swoim wólbm sztytem w plecy. Wówczas Naród Polski szedł do podziemi i walczył dalej bez przerwy przeciw Niemcom, ponosząc olbrzymie straty.

Kto mógł z żołnierzy polskich, ten przedierał się przez utle granice, przez góry, lasy i morza, by walczyć przy boku Aliantów o sprawiedliwość i wolność.

Byliśmy wszędzie: na morzach, w powietrzu, w pamiętnej bitwie nad Londynem, byliśmy na polach Francji i Flandrii, pod Narwikiem i w Tobruku. Wreszcie byliśmy i jesteśmy tu w Italii, o uwolnienie której walczyliśmy od początku do końca.

Dziś zebraliśmy się tutaj, by złożyć hołd poległym na Monte Cassino. Na wieczny spoczynek złożone tu zostały kości tych kolegów, którym zawdzięczamy zwycięstwo w tej straszliwej bitwie.

Krew wielu tysięcy żołnierzy wstąpiła w te skały i zdawało się, że maki, które w pamiętnym dniu 18 maja pokrywały te skały, stały się od niej jeszcze bardziej czerwone.

Jakie znaczenie miała wówczas ta forteca w czołoci działań prowadzonych przez Sprzymierzonych i kierowanych przez Marszałka Alexandra — należy do oceny naszych najbliższych przełożonych. My jednak wiemy, że nie ma na świecie drugiego takiego miejsca, gdzieby tyle różnych narodów przelota swą krew. Angliści, Nowozelandczycy, Amerykanie, Francuzi, Hindusi, Marokańscy, Algierczycy oraz my Polacy — ginęli tu rzymsko-katolicy, greko-katolicy, żydzi, ewangelicy, mahometanie, prawosławni i buddyści — a wszyscy oddali swe życie za wolność i sprawiedliwość.

Wiele bitew zwycięskich i krwawych prowadziliśmy w naszym marszu żołnierskim, lecz ta, którą stoczyliśmy tutaj, a którą świat cały zna pod nazwą „Monte Cassino”, na pewno pozostanie w pamięci ludzkiej i w historii jako jedna z najcięższych bitew o lepszą przyszłość świata.

Tysiąc naszych najlepszych braci i synów, bohaterów, którzy umierali tutaj z okrzykiem „Niech żyje Polska”, będzie dla nas wiecznym symbolem wiary, że Polska z tej wojny musi powstać naprawdę wolna i naprawdę niepodległa.

Ślubujemy Wam, kochani towarzysze broni, których duchy sprzed tronu Najwyższego na pewno dziś błogostają szuszej sprawie — że nie sprzeniewierzymy się nigdy haustu, dla którego poszliśmy w bój, haustu: „Bóg, Honor i Ojczyzna”.

Dziś po zakończeniu straszliwej wojny światowej wierzymy jeszcze bardziej, że nasi wlecy Alianci, którym w miarę naszych sił pomagaliśmy do zwycięstwa, dopomogą nam, by wielkie hasła demokracji — prawda, sprawiedliwość i wolność — zapanowały również w Polsce.

Żołnierze 2 Korpusu — Polska Wolna, Polska Niepodległa, Polska Suwerenna — Niech żyje!”



1 WRZEŚNIA NA MONTE CASSINO

Korespondencja własna „Parady” — TADEUSZ PNIEWSKI

Marszałek Sir Harold Alexander w towarzystwie Dowódcy 2 Korpusu Gen. Dyw. Władysława Andersa



przy blasku świecy modlił się bractwie zakonnej. Na grubym, nieruszanym pociśkami, murze setki nabazgranych podpisów, niemieckich i polskich, okupantów i zdobywców, najędźców i oswobodzicieli.

W korytarzach, na gruzach i skarpie, mijają się gesto żołnierze polscy, żołnierze wszystkich oddziałów 2 Korpusu. Nikt głośno nie mówi. Chodzą i patrzą. Na 593 i San Angelo, na masyw Monte Cairo. Flaga polska powiewa znów nad klasztorem, jak wtedy. Wiatr nie szumi dziś w drzewach — spულიałych i zamarych, właśnie — w t e d y.

Gesty mrok osiadł w płaskiej misce między górą klasztorną a 593. Reflektory oświeclają sylwetę klasztoru, ogień rakiet — wzgórze bitewne... Apel poległych na polu chwwały. Długa lista nazwisk, zakończona marszem żołtobnym.

Dogasa trawa rakietami zapalona, zapada cisza zupełna. Widma tylko się snują tamtych dni i nocy, i świerszce grają zawzięcie, przecież i wtedy, w największych nawalach ognia, grać nie przestały.

Jeszcze jest wczornie. Słońce poranka nie zmnyło mlecznej mgiełki ze szczytów górskich. I cmentarz polski na Monte Cassino jest jeszcze pusty i cichy. Cmentarz kamienny. Nie ten polski, na ziemi pulchnej, wśród traw, a ten tutaj, górski, na głazach — z Pierwszego Września



Marszałek Sir Harold Alexander składa wieńiec na cmentarzu cassińskim w czasie uroczystości w dniu 1 września b.r.

1939 roku, poczęty, i dzisiaj w sześć lat później, pierwszego również września poświęcony.

Kamienny cmentarz harmonizuje z rozwalonym czerepem góry klasztornej i ze smutnym lasem kikutów, sterczących z obu stron miski, przegradzającej 593 od góry opactwa. Na samym cmentarzu

jedno jest tylko drzewo. Nagie i zamarłe, o rozdartej korze, załamany rozpacz konarami sterczy nad grobami, suchymi szponami sięga ponad krzyże tych, co razem z nim padli. Nie zaszumi już nigdy, jedyne drzewo i pomnik drewniany tego cmentarza. Teraz, kiedy rankiem nie ma jeszcze



Prosty krzyż i gładka płyta kryją szczątki polskiego żołnierza, który w walce o Polskę poległ na ziemi włoskiej

ludzi, dwie sylwetki czernieją na białym amfiteatrze cmentarza — drzewo i żołnierz, stojący nad grobem, przy krzyżu, przez który przewiesił mały wieńiec, z górskiej zieleni, z napisem: „Najdroższemu Marianowi — Rodzina”. Ten jego wieńiec jest wieńcem także wszystkich, którzy pozostali za wielu, wielu granica-

mi i przybyć nie mogli. Takich jest większość.

W amfiteatrze krzyży leżą wszyscy, co padli od Campo Basso po bitwę o Cassino, zwiezieni z rozrzuconych grobów górskich, przemieszani — różnych stopni, pułków, wyznań — katolicy, prawosławni, żydzi. Frontem do ruin klasztoru, ku któremu zwracają się również dwa rzeźbione o pełnych wymiarach orły. Cmentarz wparł się mocno w podejście wzgórza 593 krzyżem, który wiecznie zielony zamiast Męką Pańską uderzać będzie przechodnia białym orłem polskim. I napisem, najczystsza antyquą rozpiętym półkolisto u wejścia, dokoła znicza: „Przechodniu powiedz Polsce żeśmy poległ wierni w jej służbie”.

Dzisiaj, pierwszego września, nie przechodnie uklękają tu przyszli, lecz towarzysze broni, koledzy i przyjaciele, przedstawiciele świata wolności — z hołdem, z czcią i pokorą, z wiarą. Mszy świętej odprawionej przez ks. Biskupa Polowego Gawlinę i modłów żałobnych wysuchał żołnierz, delegacje wszystkich oddziałów 2 Korpusu, 1 Dywizji Pancerniej i Brygady Spadochronowej, Lotnicwa i Marynarki, przedstawiciele polskich władz cywilnych. W towarzystwie wyższych oficerów angielskich, amerykańskich, nowozelandzkich i francuskich przybył także Marszałek Sir Harold Alexander, który wraz z Dowódcą 2 Korpusu generałem Andersem przeszedł przed frontem kompanii honorowych, witając je po polsku: „Czołem kompanie!”. W uroczystości na Monte Cassino wzięli również udział przedstawiciele Polskich Sił Zbrojnych w W. Brytanii z gen. Kosińskim na czele. Przybyli również Pierwsza delegacja m. in. delegacja 1szej Dywizji Pancerniej z Dcą Dywizji gen. K. Rudnickim, Brygady Spadochronowej, Polskich Sił Lotniczych i Polskiej Marynarki Wojennej. Przybyli również Ambasador R. P. przy Watykanie dr K. Papee, Minister Pełnomocny Jamikowski, Ks. Biskup Litewski Buczyński, Lotewski, Minister Pełnomocny Spekke Arnold, Minister Pełnomocny Słoweński Kruk, Minister Pełnomocny Słoweński Kruk, delegacje młodzieży słoweńskiej oraz liczni oficerowie i szeregowi angielscy, amerykańscy i nowozelandzcy. Reprezentowany był również rząd i armia włoska. Po ceremoniach religijnych przemówienie wygłosił Dowódca 2 Kor-

W HOŁDZIE POLEGŁYM

Z okazji uroczystości poświęcenia cmentarza żołnierzy 2 Korpusu, poległych w bitwie pod Monte Cassino, Gen. Dyw. Władysław Anders otrzymał między innymi następujące depeche i pisma:

Panie Generale!

Nie mając niestety możliwości wzięcia osobiście udziału w uroczystości poświęcenia cmentarza na Monte Cassino, proszę Pana Generała o przekazanie żołnierzom 2 Korpusu moich poniższych słów kilka.

Żołnierze, całym sercem jestem z Wami. U stóp pomnika, jaki na Monte Cassino wzniosło wasze męstwo, składam dziś imieniem Polski Niepodległej hołd tym, co spoczęli na polu chwały, a wyraz podziękuję tym, co walkę za naszą wolność przeżyli.

Pod przewodnictwem Waszego zasłużonego dowódcy, rozjaśniliście najwspanialszym blaskiem zwycięstwa ponure mroki roku, który nam tyle ciężkich doświadczeń zgutował.

Wróg, który ogłosił światu, że nie ma Polski, musiał się ugiąć pod naciskiem polskiego oręża. Na Monte Cassino ucieleśniliście słowa Hymnu Narodowego „Jeszcze Polska nie zginęła póki my żyjemy!”.

Dla Ojczyzny poszliście walecznie w ciężki bój, spełniając chlubnie swój żołnierski obowiązek. Wiem, że miłość Ojczyzny nie osłabła w Was i nie osłabnie i wierzę, że w Waszych cnotach polskich i rycerskich wytrwale wierni i niezłomni, posłuszni głosowi wolności, za którą krew Wasza płynęła, a którą Naród nade wszystko ukochał!”.

(—) Władysław RACZKIEWICZ

Bardzo dziękuję za telegram Pana z 20 sierpnia. Chciałbym bardzo być obecny na tej wzruszającej uroczystości. Pewien jestem, iż zrozumie Pan, że w obecnym czasie nie mam możliwości wyjazdu z kraju.

(—) ATTLEE

Głęboko żałuję, iż nie mogę być obecny na tej uroczystej i pełnej chwały ceremonii.

(—) CHURCHILL

Dziękuję za zaproszenie na uroczystość w dniu 1 września poświęcenia cmentarza na Monte Cassino. Szczególnie żałuję, iż nie będę mógł być obecny. Chciałbym naprawdę móc widzieć się z Wami w tym dniu i żyć z hołd poległym Polakom, którzy tak bohatercko przyczynili się do zwycięstwa w Italii. Wolny świat będzie pamiętał zawsze ich ofiarę.

(—) Gen. D. D. EISENHOWER

W odpowiedzi na pismo Pana żałuję, iż moje obowiązki w Niemczech nie pozwalają mi na wzięcie udziału w poświęceniu cmentarza w dniu 1 września. Podzielam żałobę Pana i Jego Wojska z powodu straty tych dzielnych oficerów i żołnierzy, którzy oddali życie dla sprawy wolności.

(—) Marszałek MONTGOMERY

Ogromnie żałuję, iż nie będę mógł wziąć udziału w uroczystości na Monte Cassino 1 września. Myśli moje będą przy tych żołnierzach wojsk polskich, którzy padli spełniając zadanie, które stało się jedną z najcięższych bitew w tej wojnie. Dziękuję za Pańskie zaproszenie i zapewnię Pana, że my nigdy nie zapomnimy męstwa poległych żołnierzy i ofiar w jego pierwszej wielkiej operacji przejście do potomności w historii wojny na jej Śródziemnomorskim teatrze.

(—) Marszałek WILSON

Boję się, iż pilne sprawy urzędowe w Wiedniu nie pozwalają mi na wzięcie udziału w poświęceniu Waszego cmentarza na Monte Cassino 1 września. Wdzięczny jestem jednak za Pańskie zaproszenie i zapewnię Pana, że my nigdy nie zapomnimy męstwa poległych żołnierzy i ofiar, którzy dali życie, aby pomóc do zwycięstwa, którym dziś się radujemy.

(—) Gen. CLARK

Boję się najgłębiej, że moja obecność w Anglii nie pozwala mi wziąć udziału w ceremonii poświęcenia cmentarza żołnierzy polskich, którzy padli w bitwie o Monte Cassino w dniu 12-18 maja 1944 roku. We własnym imieniu oraz w imieniu wszystkich żołnierzy, którzy walczyli w 8 Armii obok 2 Korpusu Polskiego, zapewnię Pana przy tej uroczystej okazji, że nigdy nie zapomnimy dzielności i ofiary naszych polskich towarzyszy broni, którzy padli w tej historycznej bitwie o wzgórze Klasztoru Monte Cassino.

(—) Gen. MacCREERY

29 sierpnia. Dziś dopiero otrzymałem pismo Pana. Myślę wiele o Państwie i o wszystkich naszych przyjacielach spod Cassino. Zawsze będę mieć w pamięci Waszą wspaniałą walkę i rozstrzygający Wasz udział w naszym wielkim zwycięstwie. Chciałbym bardzo być razem z Wami 1 września.

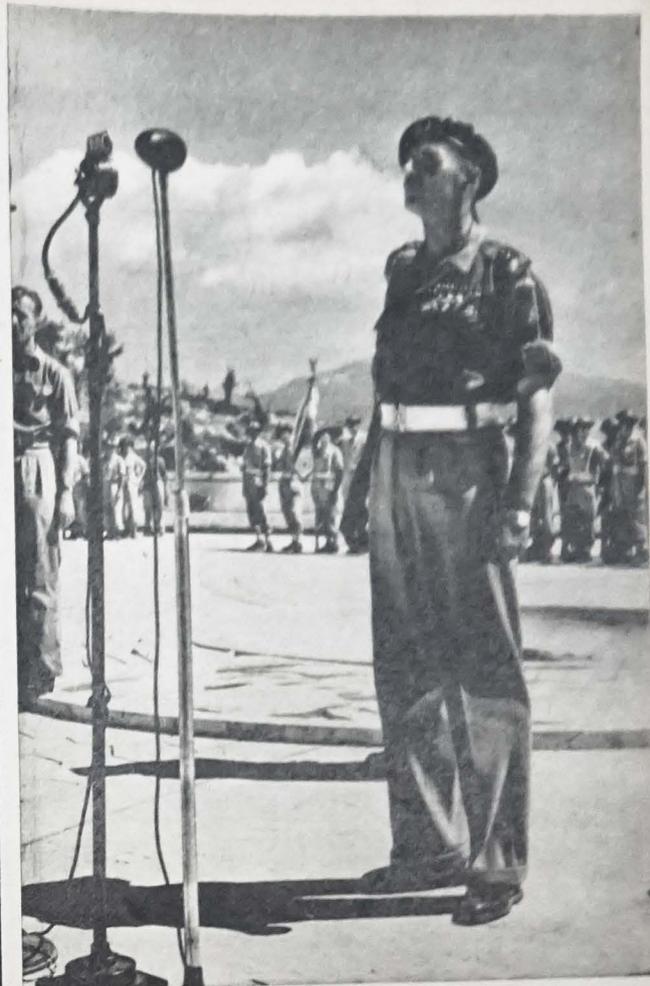
(—) Gen. LEESE

Dziękuję za pismo Pana z dnia 25 sierpnia. Ogromnie żałuję, że nie będę mógł być z Wami w dniu 1 września.

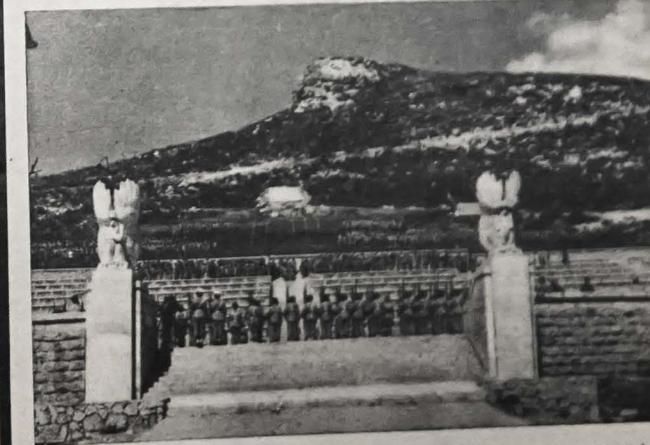
(—) Gen. PAGET

Jestem Panu bardzo wdzięczny za Pańskie łaskawe zaproszenie na uroczystość poświęcenia cmentarza na Monte Cassino 1 września 1945. Jeśli tylko będę mógł — rad byłbym bardzo przybyć — lecz obecnie jestem w Londynie, a data mego powrotu nie jest jeszcze ustalona. Dam znać później, jeśli będę mógł przybyć.

(—) Gen. FREYBERG



Dowódca 2 Korpusu Gen. Dyw. Wł. Anders przemawia w czasie uroczystości na cmentarzu w Cassino



Stylizowane orły o skrzydłach husarskich dłuta prof. Carbelotti — strzegły cassińskiej bramy cmentarnej



Jedno, martwe drzewo na kamiennym cmentarzu

pusu generał Władysław Anders, zapalając potem znicz.

Cmentarz, nad którym przepłynęły melodie hymnów sześciu narodów, jakie wzięły udział w zmaganiach o Cassino, a w którym wiele dziś zostało z żarliwej modlitwy i wspomnienia, szybko pustoszeje. Nie zostanie jednak pusty. Tych tysięcy naszych najlepszych — jak stwierdził generał Anders — „będzie wiecznym symbolem wiary, że Polska z tej wojny musi powstać naprawdę wolna i naprawdę niepodległa”. Cmentarz na Monte Cassino jest tym symbolem. I c h

wiara i c h zwycięstwo jest tu zaklęte w tysiąc krzyży ofiarnych, w setki drzew w bitwie na pomniki wyrosłych, w ruinach, których odbudować nie można, odbudować nie wolno.

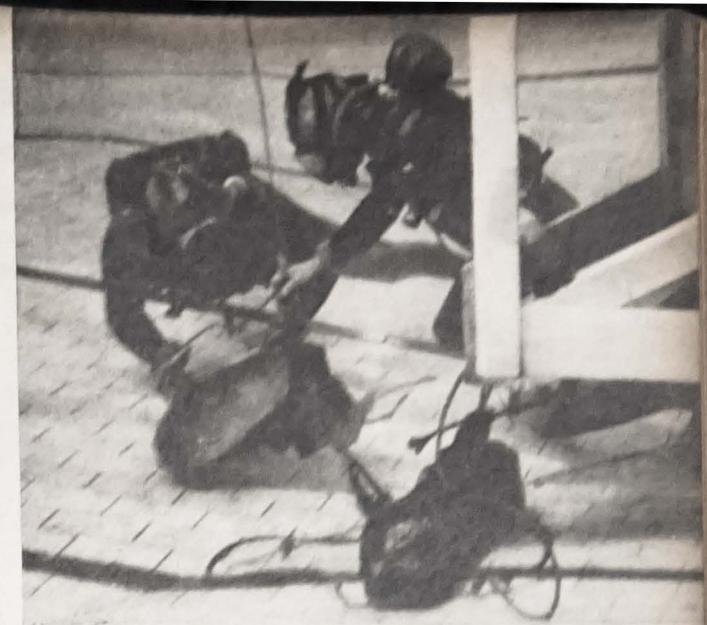
Szose Nr 6, drodze na Rzym, którą zwycięstwo cassińskie otworzyło, towarzyszą długo obelisk Karpackiej i krzyż Kresowej, i najwyższy Monte Cairo, towarzyszą przechodniom...

„Przechodniu, powiedz Polsce...” Przechodniu, przechodniu ze świata wolnego, do ciebie także są skierowane te słowa, jak dla ciebie była ta bitwa krwawa, wśród maków czerwonych.

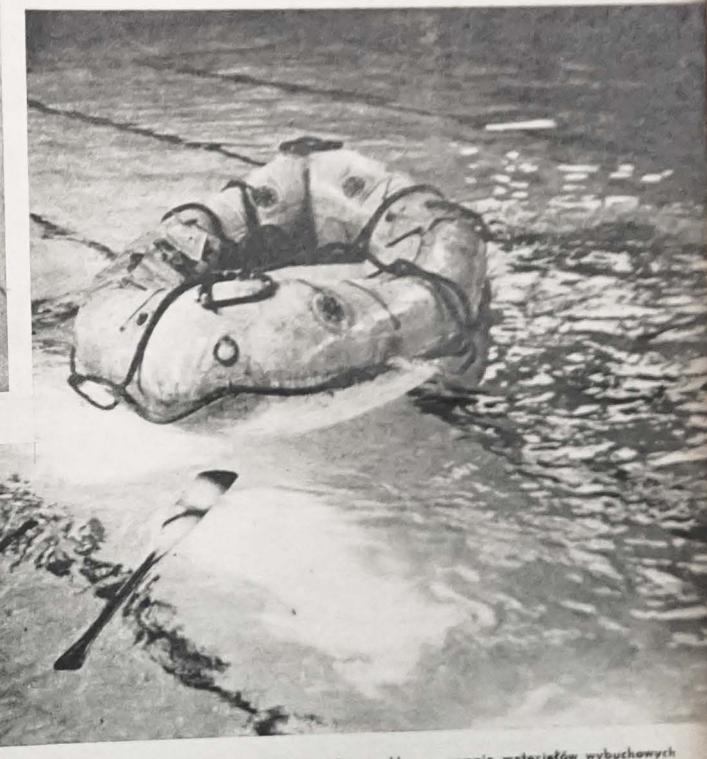


Saperzy morscy udają się na patrol w łodzi pneumatycznej

W chwili niebezpieczeństwa łódź pustoszeje w ciągu jednej piątej sekundy



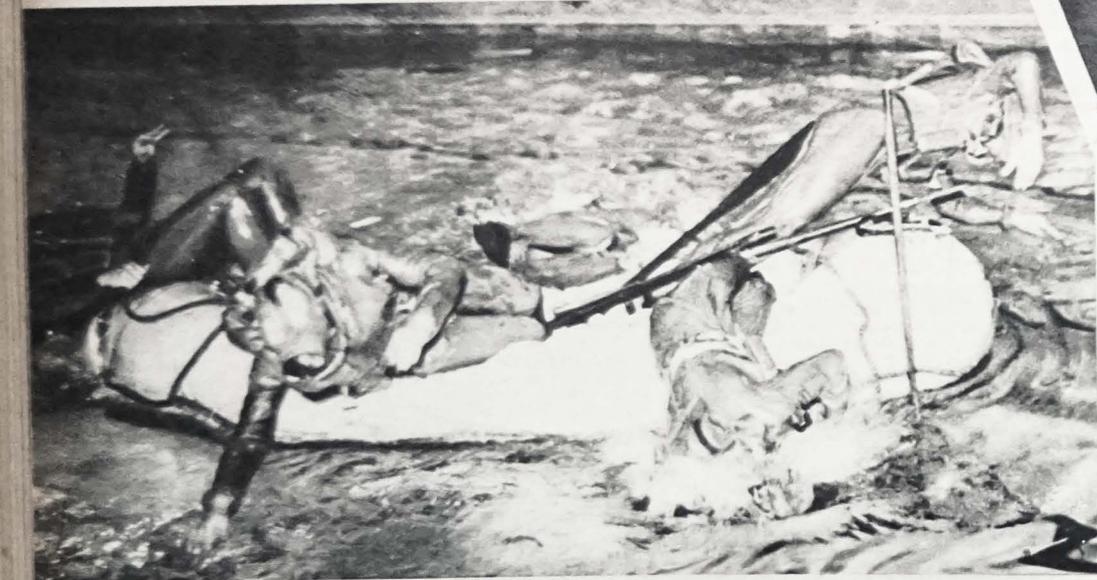
Aparaty oddechowe wysterczeją na półtoragodzinne pozostawanie pod wodą



Pusta łódź czeka na powrót załogi



Umocowywanie materiałów wybuchowych



Crłowiek-żaba saper podwodny

Strój człowieka-żaby, w całości zrobiony z gumy, przylega do ciała jak druga skóra



Jednym z najciekawszych sekretów tej wojny, ujawnionych obecnie, jest historia „człowieka-żaby”, saper podwodnego, którego tajemniczej pracy zawodziła swoje powodzenie inwazja na Europę.

Niemcy otoczyli wybrzeża Atlantyku wałem podwodnym, skonstruowanym ze słupów stalowych w formie gigantycznych trójkątów. Zapora Wąta Atlantyckiego wysoka na 10 stóp i nieczuła na pięćdziesiąt funtów miny głębinowe dawała Niemcom poczucie pełnego bezpieczeństwa przed atakiem z morza, ponieważ każdy zbliżający się okręt musiałby uleść rozbięciu w zetknięciu z tą stalową rafą.

Tymczasem, na kilka godzin przed przybiciem do brzegu pierwszych oddziałów inwazyjnych, niemiecka obrona na wybrzeżu została zaalarmowana eksplozją. Niewielki stęp wody, kółko piany i tak reklamowany Wąta Atlantycki pogrzyżł się w wodzie. W ten sam tajemniczy sposób znikły bez śladu podwodne pola minowe. Dostęp do brzegów Europy stał się otworem dla wojsk Sprzymierzonych.

Sukces ten był wynikiem długotrwałych ćwiczeń i pracy marynarzy brytyjskich szkolonych w największej tajemnicy na saperów dna morskiego.

Na podstawie fotografii dostarczonych przez lotnictwo, odtworzono dokładne plany konstrukcji stalowych, potrzebne do szczegółowego opracowania ataku. Długie próby poprzedziły wynalezienie stroju najodpowiedniejszego do pracy, a w razie potrzeby i do walki pod wodą. Różni się on zasadniczo od ubioru nurka. Jest zrobiony w całości z gumy i przylega do ciała jak druga skóra. Aparat oddechowy, również z lekkiego materiału, zawiera tlen potrzebny do oddychania na przeciąg półtoręj godziny.

Saperzy podwodni udają się na patrol w łodzi pneumatycznej, w której znajdują się także potrzebne materiały wybuchowe. W chwili niebezpieczeństwa łódź pustoszeje w jedną piątą sekundy, a marynarze pływając pod wodą holują ją za sobą. Dzięki gumowym pantoflom w kształcie płetw pływacy mogą rozwiniąć rekordową szybkość, oszczędzając równocześnie wta-

ne siły. Pantofle takie są starym wynalazkiem, używanym już przed 30 laty przez zapalonych rybaków-sportowców, do łowienia ryb głębinowych w krajach tropikalnych.

Praca nad stworzeniem dostatecznie wielkiej wyrwy w Wale Atlantyckim trwała zaledwie 5 godzin. 37 potężnych ładunków wybuchowych zostało wmontowanych w podstawę konstrukcji, co spowodowało zawalenie się 3000 słupów stalowych.

W chwili gdy lądowały pierwsze oddziały Sprzymierzonych – saperzy podwodni odpięli również niewidzialnie i tajemniczo jak się zjawili. Czekali ich nowy okres prób i przygotowań poprzedzających inwazję na Japonię. Obiecywali sobie uporać się z tym zadaniem łatwiej, ponieważ Japończycy w braku stali i żelaza budowali swoje wały obronne z pni drzewnych i z korali.

Kapitulacja Japonii oszczędziła jednak nowego wysiłku i pozwoliła wyjść z ukrycia najbardziej tajemniczym, niewidzialnym żołnierzom tej wojny.

M. P.

FRANCISZEK WIELKI

TADEUSZ WITTLIN



Warszawa — Kazienki

Uszę i sylwetę zwolna, lecz niechronie we mgłę legendy zapadającej Warszawy rzeźbiły charakterystyczne postacie, bez których stolica byłaby jedynie zwykłym, powszednim miastem z pewną ilością placów, ulic i domów. Jedną z takich popularnych osób był profesor Bazewicz, znany kartograf, paradujący stale i wyłącznie we fraku, pelerynie i cylindrze, z balową laseczką i nieprawdopodobnej długości wąsami, które wypomadowane czarno i sztywno, przekreślały mu w poprzek twarz, niczem przebrity przez koniec nosa drut parasola. Nie mniej był znany piewca Starego Miasta poeta Or-Ot Artur Oppman — Wołodyjowski dziewiętnastego wieku, miniaturowy wojak. Mówiono o nim, że to „nieznany żołnierz, który wstąpił do wojska jako prosty major”. Najbardziej jednak słynny był Franciszek Fiszer. Obrzym-Waligóra z wielką, rozwiastą, czarną brodą, o krzaczkach brwiach i szerokim nosie, przepołowionym parą staromodnych binokli. Głos jego — tubalnie donośny bas, rozbrzmiewał nie inaczej, niż huczącym grzmotem, od którego szyby w oknach dzwoniły. W przepastnym, o niemiłosiernie pomiętych kryzach, kapeluszu i w siennym paltoście, który u schyłku ubiegłego stulecia prawdopodobnie był szary, później spłowiwały przysłaj barwę szmaragdową, niczym pokryte śnieżką antyczne srebro. Atoli w butonierce płaszcza stałe tkwił wonny, różowy goździk. Niesamowity król żartów, któremu sprostać by jedynie mogli Gargantua i Pantagruel, jak oni pełen wszechwiedzy, mądrości, aforyzmów, paradoksów, przypowieści, żartów, dowcipów i anegdot tustych a sprośnych. Przed wielu laty — obywatel ziemski, który swe włości wręcz przetrzął, niedługo przed nim i po nim przepił swoje dobra. W alkoholu bowiem przy dobrych chęciach utopił przecież można obrzymia fortunę w ciągu jednej bodaj, umiejętnie przechulanej nocy. Był jednak nie przepię, lecz — przejęsć majątek ziemski w Polsce, gdzie jedzenie było największą w świecie tanioczną, zwłaszcza we własnych włościach, była to sztuka, jakiej dokonać mógł jedynie on — wielki Franc Fiszer.

Ostatecznie, gdy pozostały mu jedynie rozległe kryzy kapelusza, zielone jesionki, czarny las rozwichrzonych brody, pole sztuki i horyzonty myśli, począł żyć — z przyjaciół. Wspomniał, udzielił władca pieczeniary, zapraszany był codzień gdzie indziej na wystawne obiady i kolacje, które rzący uświetniał swą szlachetną obecnością. Dobijano się o jego odwiedzin. Goszczenie go bowiem było zaszczytem. Fiszer był wybredny i nie dostrzegł byle kogo. Głupców i dorobkiewiczów nie cierpiał organicznie, a choć czasem ostatecznie zgodził się zjeść skromny obiad z kilkunastu dań na rachunek jakiejś niegodnej posturki, na zakoficzenie potrafił przygwoździć i umścić swego gospodarza śmiertelnym pociskiem celnego powiedzonka, które niszczyło snoha raz na zawsze. W dobranem natomiast towarzystwie Fiszer panował wszechwładnie opowiadając gromowładnym głosem fantastyczne historie. Jedną z najsłynniejszych była jego opowieść o skaczącym tancerzu.

— Gdy gościłem raz w majątku moich przyjaciół na Kresach — opowiadał — był tam stary sługa... zaporoziec... który gdy wypił czarę wódki, zaczął tańczyć kozaka. Z przysiadami. Nagle odbijał się od podłogi, podskakiwał tak wysoko, że uderzał głową o pułap, a potem powoli, powoli opuszczał się na ziemię.

Podobnie irracjonalistyczna była opowieść o Świącie Morza:

— Będąc w Gdyni na Świącie Morza — grzmiał Fiszer głosem burzy na Bałtyku — nabrałem w butelkę wody morskiej. Na pamięć. W pociągu, w drodze do Warszawy gdy otworzyłem walizkę, by wydobyć nieco pożywienia, zoczyłem, że butelka jest pusta. Zdumienie moje było bezgraniczne, gdy stwierdziłem, iż butelka nie służona, doskonałe zapieczętowana, w walizce zaś ni śladu rozlanej wody. Wreszcie spojrzawszy na zegarek i zrozumiałem wszystko. Zgadzało się co do minuty. Przed chwilą właśnie nastąpił odpych morza...

Fiszer, człowiek nie tylko głębokiej wiedzy, lecz również obdarzony fenomenalną pamięcią, stanowił sobą żywą encyklopedię, chodzącą potężnych rozmiań biblioteczną szalę. Z równą łatwością cytował w oryginalne strofy poetów rzymskich i greckich dramaturgów, tezy angielskich filozofów, dzieła niemieckich historyków, aforyzmy Woltera.

Szeroko znane było w stolicy wydarzenie, gdy na premierze „Wesela” w Teatrze Narodowym, przez widownię nagle przeszło gromkie chrapanie i przeciągły świst nosowy smakowicie drżące wielkoluda. To Fiszer zasnął w fotelu i znad czerni krzaczastej wachlarza brody sapał, niczym zdronzona lokomotywa powracająca do zajezdni z dalekiej podróży. Siwy jegomość, siedzący za barykami plecami wielkiego Franciszka, mięsniato tracił go w ramię.

— Czego żądasz sędziwy starcze? — rzucił poza siebie Fiszer.

— Proszę pana... pan tak głośno chrapie, że nie słycać co mówią na scenie — jął tłumaczyć się przerażony teatroman.

— Pani! — huknął Fiszer. — Na co panu słycać? Człowiek wykształcony, który nie zna Wesela Wyspiańskiego na pamięć, jest kretyn!

I po tych słowach skłonił głowę na atlasowe piersi, by powtórnie pogryźć się w otkhani zburzonego snu.

Możność zajęcia miejsca przy kawiarnianym stoliku, nad którym despotycznie panował wielki ekscentryk nie była łatwa. Otaczali go bowiem wyłącznie najlepsi poeci, literaci, malarze, rzeźbiarze, aktorzy. Z trudem jedynie mógł dosięść ktoś nowy, młody, wstępujący dopiero na znużoną drogę sztuki. Chyba, że był bardzo zdolny, jeszcze bardziej skromny i nie śmiał w obecności Miszra puścić pary z złotego dzioba. Raz przysiadł się pewien chirurg, posiadacz pięknego auta, snot, leczący artystów za pół darmo, by za tę cenę wkuć się w bractwo. Przysiadł się — trudno. Niech choć milczy. Lecz na swą zębę ośmielił się zabrać głos. Fiszer wbił w nieszcześnika pioru-

ny swych oczu, wstrzymał dech, nabrał tonny powietrza w gigantyczne płuca i huknął:

— Pani! Kto pan sobie właściwie jesteś?

Ofiara wymieniła nazwisko.

— Aha! — szalał wielki Franciszek. — A Locke'a pan czytałeś?

— Nie — przyznał lekarz niepewnym tonem.

— To jakim prawem śmiesz pan tu z nami siedzieć? Idź pan do domu, a dopiero po przeczytaniu Locke'a będziesz się pan mógł pokazać.

Biedak zmył opuścić lokal. Jednakże po tygodniu powrócił.

— Pani! Kto pan sobie właściwie jesteś? — bezlitośnie rozpoczął Fiszer, jak gdyby ujrzał go po raz pierwszy w życiu.

Lekarz znowu przedstawił się potulnie.

— Aha! A Locke'a pan czytałeś?

— Owszem...

— A w jakim języku pan go czytałeś? — padło zdradziecko.

— Po polsku...

— To jakim prawem śmiesz pan tu z nami siedzieć? Dopiero po przeczytaniu Locke'a w oryginalne będziesz pan mógł pokazać się tutaj.

Zniszczony chirurg jak niepyszny znowu opuścił kawiarnię, by przez długie tygodnie ślezc nad dziełami angielskiego myśliciela w jego rodzimym języku.

Wreszcie przysnął swe krzesło do swojego stolika.

— Pani! Kto pan sobie właściwie jesteś? — spytał go Fiszer wladnym głosem.

Delikwent znowu przedstawił się grzesznie.

— Aha! A Locke'a pan czytałeś?

— Czytałem...

— W oryginale pan go czytałeś?

— Owszem — odpowiadał lekarz jak uczeń na egzaminie.

— Czy całość w dwunastu tomach... indagował Fiszer tonem sędziego siatego.

— Tak jest...

— Pani! Poczłże pan to robił... Locke to był?

Gdy po dłuższej chorobie, bodajże w kawiarni, nowopracujący kelner nie wiedział jak tytułować tego królującego gościa.

— Co dla pana dyrektora? — spytał uniżenie.

— Nie jestem dyrektorem, śliczny chłopcze — odparł Fiszer.

— Bardzo przepraszam... chciałem powiedzieć: dla pana mecenasa...

— Dla pana profesora...

— Nie jestem profesorem, mój kochaniefki.

— Dla pana redaktora...

— Nie jestem również i redaktorem.

— Więc jakżeż mam nazywać szanownego pana? — spytał kelner bezradnie.

Wielki Franciszek pomyślał chwile, poczem wzniosł wskazujący obrzymi palec i po dramatycznej przerwie odrzekł: — Mów do mnie... „Boże”!

Biedny kelner z przerażeniem zamrugał oczkami i nie wiedząc co z sobą począć, spytał:

— To znaczy się: pół czarnej?... — Chwileczkę, drogi chłopcze — powstrzymał go Fiszer. — Czy macie cykorię?

— Dowiem się w kuchni — odparł kelner.

Po chwili powrócił pospiesznie i zameldował:

— Owszem, jest.

— Proszę przynieść — zażądał Fiszer. Wkrótce na małym talerzyku czerniał się przed nim proszek zmielonej cykorii.

— Czy nie macie więcej? — Pytał Fiszer poważnie.

— Zapytam — skłonił się kelner, by wnet powrócić z kilkoma ciemnymi koskami na spodeczku.

— Proszę o jeszcze — domagał się Fiszer.

Za trzecim jednak nawrotem kelner powrócił ze smutną wiadomością:

— Niestety proszę szanownego pana, w kuchni nie mają już ni okruszyny.

— To świetnie! — ucieszył się wielki Franciszek. — Niech zatem ta cykorii stoi tu przede mną na stole tak długo, aż wy zgotujecie mi kawę mocną, smaczną i z pewnością pozbawioną cykorii.

Zapadał błękitny zmrok, gdy Fiszer podniósł z klubowego fotela obrzymym gmach swjej postaci i po trzeszczących pod jego potężnym ciężarem schodach, zaszedł z półpiętra kawiarni Ziemińskiej, by przez obrotowe drzwi wymieścić się na ulicę. Za nim wysypali się wszyscy, którzy go otaczali.

Wiał ciepły, wiosenny, fiołkami ulicznych sprzedawców pachnący, zmierzchny czarnym aksamitem lśnił asfalt gęstym, aż w końcu przysiadłszy na ławce, zaczął pędzić co sił, panicznie wykrzykiwać nazwy pism wieczornych. Lustrzane wiany księgarni Mortkowicza płąły barwnymi reprodukcjami tanców polskich Stryjeńskiej. Nieopodal, tuż za sklepieniem tapet Franaszka, galeria Garlińskiego ogłaszała nową wystawę pewnego współczesnego malarza, przedstawiając w oknie jeden z jego obrazów w obrzymim, złoczonej ramie. Fiszer nie mógł oprzeć się, by nie przystanąć.

— Wspomniał obraz! — zawyrokował wreszcie po dłuższej chwili. — Wspomniał... Szczególnie... rama. Rama Ludwika Czernastego. Gdyby Ludwik Czernasty wstał teraz z grobu, mógłby oświadczyć: „Oto moja rama!”

Przy zbiegu Świętokrzyskiej i Piłsudskiego tkwił kiosk z papierosami, napoleona tkwił kiosk z naftową lampą, oświetlona wewnątrz naftową lampką, budka, przytulona do ściany gmachu, telegrafu, pomalowana na stalowo, z wianem na tarczy ortem w biało-czerwonym promieniach i napisem: „Inwalida wojenny”.

— Hej, inwalidol — z daleka zawołał Fiszer. — Proszę o pudełko zapalek, nie używane i świeże. Oto gotówka.

Położył miedzianą pięciogroszówkę w otoczeniu zdumionego sprzedawcy i pożegnał go uprzejmie:

— Dziękuję, dobry inwalidol. Dobranie! Przesłone wejście do gmachu poczyniłem w otoczeniu stojących na baczność dwu-

starzanych słupków listowych skrzynek, stanowiąc to dla warszawiaków zburzone miasto, jeśli nie zapiszą się na cmentarz Ligi Obrony Powietrznej.

Fiszer, w gronie swych satelitów, zdał opłynął sterczący pocisk, jak potężny pancernik omija wystającą zagłębioną ulicę, by skroś Chmielnej. Tędy ze ciemny przekop Nowego Świata, gdzie głował w stronę Nowego Świata, gdzie mieszkał ktoś, kto oczekiwał wielkiego Franciszka z sutą kolacją. Z poza nawpół uchylonych drzwi małej piwniczki szewczy, dobiegał pracowity stuk młotka. Fiszer pochylił swój obrzymi tors nad szereg pochylonych i zabuchwał w mrok przepełniał piwnicy:

— Szwacz! Porzuc! Wszak późno! — Wtem zza węgła wychynął mundur posterunkowego, ponuro prowadzącego zapłakaną dziewczynę.

Fiszer, który szerzej przejął się jej smutnym losem, wyrósł przed nim, by kolonną swej niebotycznej postaci zastąpić drogę.

— Dokąd wieszysz to niewinne dziewczę, bezlitosny policjancie? — spytał groźnie.

Posterunkowy w zdziwieniu zatrzymał się przed tą niespodzianą przeszkodą.

— Bo ona jest taka... — wyjąkał i urwał w połowie nie wiedząc jak określić dziewczynę, by nie użyć nieprzyzwoitego słowa — ...i ja służbowo wykonuję obowiązek.

— Pani! — zawołał Fiszer wznosząc wskazujący palec na wysokość policyjnego nosa. — Powiadasz, że wykonujesz swój obowiązek?.. Pięknie. Jesteś pan świętym policjantem, ale bardzo złym chrześcijaninem. Z mojego polecenia proszę puścić to dziecko.

I ryckiem ukłoniem Don Quichota zwracając się w stronę aresztowanej oświadczył dwornie:

— Pani! Jesteś piękna, kocham cię. Odejdź w spokoju, małeńka.

Zdebił przedstawiciel władzy szeroko rozwarł usia i puścił ramię dziewczyny, która przysnęła zdumiona nie mniej, niż jej prześladowca.

— Biedne stworzenie — westchnął Fiszer tak potężnie, że niemal mógł zdmuchnąć najbliższą latarnię gazową, jedną, jaka właśnie na Chmielnej oparała się elektryczności w śródmieściu stolicy.

— Jej białe boty uciekały po ulicy jak dwa szczone białe psy: szpice lub foxteriery. Bardzo lubię psy... zwłaszcza szpice. Pamiętam, gdy w pewnym domu jechałem windą, a wraz ze mną jakiś pan właśnie z takim szpicem... Potniał kocham owe stworzenia, przez cały czas jazdy pieszczotliwie głaskałem tego pieska. Dopiero gdy ów pan wysiadł ze swym zwierzątkiem zauważyłem, że nie był to piesek, lecz mała, przystojna kobiątka, zdaje się, jego żona, w białym, puszystym futerku.

W czasie innej z podobnych, jak owa przez Chmielną przechadzkę, na Krakowskim Przedmieściu, podszedł do Fiszera ubogi z prośbą o wsparcie.

— Jesteś bezrobotny, mój biedny człowieku — rozczulił się Fiszer wzruszony do głębi węgo serca, wielkiego z pewnością jak serce Zygmuntowego dzwonu. — A jaki jest wasz zawód?

— Jestem szklarz...

— Hm... szklarz... — zadumał się wielki Franciszek. — Jakby was wspomóc?... Pieniądzy, niestety nie posiadam, ale, jeśli jesteście bezrobotny szklarz, to mogę wam dać pracę.

Po tych słowach wzniosł do góry trzymaną w dłoni łaskę i wyróżną w obrzymią szybę cukierni Lourse'a.

Jeszcze jako blisko siedemdziesięcioletni starzec miał podobnie fantastycznie niespotykane pomysły.

... A gdy umierał Franciszek Fiszer, umierał jak Szekspir, Molier, Norwid, Poe i tylu innych, wielkich, którzy władając tysiącami serc, umysłów i dusz, przy własnej duszy nie posiadali centa, ni całej koszuli na grzbiecie. Umarł na szpitalnym łóżku.

Powalonego chorobą odwiedzały przyjaciacie, by użyć w samotności i pocieszyć gasnącego starca, wraz z którym bezpowrotnie odchodziła w niebyt część najwspanialszej Warszawy. Jednakże gdy w progu szpitalnej sali zjawił się członek polskiej akademii literatury Bolesław Lesmian — Fiszer z największym wysiłkiem unosił głowę z nad poduszki i zabuchwał:

— Patrząc go! Całe życie nie cierpiałem jego wierszy i jeszcze tutaj do mnie przychodził!

Był to ostatni dowcip Franciszka Wielkiego, wyniesiony z przedślonka szpitalnej śmierci w bzy, jaśmin i fiołki, kwitnącej pełnią życia Warszawy.



PANTOGRAF KOPIUJE POMNAŻA...

Upiększanie tkanin przez farbowanie i drukowanie należy do najstarszych sztuk, rozwiniętych dzięki współpracy artysty i rzemieślnika. Inwencja twórcza i praca biegłych rąk, procesy chemiczne i mechaniczne tworzą owe kolorowe cuda. Są one wykonywane przeważnie sposobami drukarskimi, z których najpospolitszym jest metoda rytowania na miedzianych walcach.

Projekt nowego wzoru powstaje w pracowni malarskiej lub na biurku specjalisty w domu miod. Projektodawca musi uwzględnić środki techniczne, jakie dysponuje przemysł tekstylny oraz przestrzegać zasadniczego wymagania podobnego rysunku — powtarzalności. Fragment, mający być motywem całości, musi wiązać się schematycznie w obu wymiarach płaszczyzny: wzdłuż i w szer. Przy czym wystarcza jeśli artysta wykona jednostkę rysunku, dowolnej wielkości, byleby podał właściwie rozmiary i nanosił te barwy, które według kompozycji są najwłaściwsze.

W fabryce tekstylnej rysownik i drukarz badają szczegółowo zakwalifikowany model. Od ich pracy zależne jest dokładne odwzorowanie pomysłu artysty. Oni to często dokonują modyfikacji rysunku, koniecznej ze względów technicznych, ale nie paczących jego oryginalności.

Po uwzględnieniu poprawek, rysownik projektuje wielki szkic jednostki rysunku na malowanej płycie cynkowej. Ponie-

waż w dalszej czynności każdy kolor będzie drukowany na oddzielnym walcu, a farba rozszerza się w druku — rysunek obwody rysownika, tam, gdzie dwa kolory mają się zetknąć ze sobą, zostawia wązki przedział, szerokości zależnej od wielokrotności powiększenia. Opracowanie na jednym kontury, odcienia — jeśli takowe są konieczne — zyskuje się głębszym lub płytszym trawieniem.

Rysunek na płycie zostaje pomalowany tyłoma kolorami, ile będzie użytych przy produkcji. Jest to niezbędne dla orientacji przy dalszej pracy. Teraz do głosu dochodzi rytownik. Przymocowując płytę do obrotowego stołu, używając różnokształtnych i różnych wymiarów narzędzi, grawiurę on kontury poszczególnych barw. Ta praca wymaga wielkiej precyzji.

Płyta jest gotowa do pantografu — maszyny rytowniczej. Istnieją dwie odmiany pantografu, wklęsły i płaski, różniące się jedynie małoznaczącymi szczegółami. Maszyna ta przenosi fragment rysunku (jeden kolor) na miedziany walec w pożądaną wielkość i powtarza go tylekroć, ile potrzeba dla pokrycia całego wala. Wykonywa to skomplikowany mechanizm, którego działanie jest następujące: robotnik obsługujący pantograf oprowadza stalowym ryłem, zawieszonym na obrotowym ramieniu, po wyłobieniach na płycie cynkowej; szereg dzwigni odpowiednio uregulowanych porusza ten ruch. Każda z tych dzwigni

zakończona jest diamentowym ostrzem, które posuwając się po powierzchni walcu usuwa znił uprzednio nakładony materiał. Motyw rysunku można w ten sposób powiększyć jednocześnie 20—30 krotnie.

Na tym polega zasadnicza korzyść procesu pantograficznego.

Obsługiwanie pantografu nakłada wielką odpowiedzialność. Od regularności i jakości rytowania uzależniony jest końcowy wynik pracy. Pomyłki muszą być wykluczone, gdyż są zbyt kosztowne: najmniej niedopatrzenie pochłania wielką sumę pieniędzy. Dlatego też przy tej pracy są zatrudnieni doświadczeni, wykwalifikowani robotnicy.

Teraz następuje korygowanie drobnych usterek, usunięcie zbędnych emalii między obwodami naniesionych konturów etc. Wałce są gotowe do trawienia. Obracając się w korytkach z kwasem, niedługo w miejscach pozbawionych emalii ulega zżeraniu. Sięgnięcie kwasu, jego skład chemiczny i czas trawienia tworzą głębokość rysunku — wyrazistość koloru.

Wszystko, co pozostało do zrobienia, to usunięcie zbędnej już emalii, dokonanie drobnych poprawek i prób. Komplet wałców, tworzący jeden wzór, gotowy jest do przekazania drukarzom.

Spod maszyny drukarskich tekstylnej fabryki popłyną w świat tysiące metrów barwnego, urzekającego oczu materiału.

